

## Coś na deser

Akurat wtedy, gdy na stół wparowało angielskie śniadanie w wersji bezmięsnej, domofon zaczął wydawać z siebie długie, wysokie dźwięki. Czulem, że po tamtej stronie czeka ktoś ciężki i nerwowy. Tak długo trzymać palec na guziku mógł tylko ktoś z administracji, dzielnicowy albo hydraulik, tyle że była sobota i na nikogo nie czekaliśmy. Chwilę później do mieszkania wszedł mężczyzna ubrany w stylu sportowo-słowiańskim i z poirytowaniem wyczerkał następujący komunikat:

– Mieszkał. Ja. Tu. Pocztu.

– Ach, tak, proszę. Zaraz zobaczymy – odpowiedział mu Kuba, od którego wcześniej się dowiedziałem, że w trzech i pół pokojach mieszkania wrocławskiej kamienicy kwaterowała się wcześniej ósemka moich rodaków. Najwidoczniej był to jeden z poprzednich lokatorów.

Nieproszony gość bez ceregieli wszedł do kuchni. Kuba wziął w ręce gruby stos kopert, który obaj zaczęli przeszukiwać. Tymczasem w przedpokoju zjawiała się mocno zdenerwowana kobieta w puchowej kurtce. Głośno i po rosyjsku syczała polecenia do swojego kompana, aby sprawdzał uważnie. Trwało to dosłownie kilka minut.

– No, tylko awizo do pana – oznajmił Kuba i podał gościowi karteczkę.

– Awizo nie. Wezwanie! Urzond!<sup>1</sup>

– Awizo – powtórzył Kuba, ale mój rodak wciąż go nie rozumiał.

---

1 Polonizm używany przez osoby zza wschodniej granicy mieszkające w Polsce. Sam również używam tego określenia w odniesieniu do wszelkiego rodzaju instytucji państwowych, wymawiając je z wyraźnym akcentem na „o”.

Kobieta w puchowej kurtce osiągnęła punkt wrzenia. Wydawane przez nią odgłosy coraz bardziej przypominały szmery czajnika, który ktoś zapomniał zdjąć z ognia. W tamtym momencie przemówiłem do naszych gości po ukraińsku:

– Jaki to urzond? – Momentalnie zapadła cisza. – Jeżeli migracyjny, to oni wysyłają papiery tylko listem poleconym. A jeśli wy nie możecie go odebrać, to zostawiają awizo. Być może zdążycie jeszcze dzisiaj na pocztę.

Rodacy zamarli w zdumieniu. Chwilę później jednak odżyli i zażyczyli sobie, by pokazać im skrzynkę na listy. Kuba uprzejmie zgodził się zejść z nimi na dół. Kiedy wrócił i mogliśmy w spokoju kontynuować naszą małą ucztę, apetyt zdążył przepaść jak kamień w wodę.

Co sprawiło, że nasi goście byli tacy naburmuszeni? To pytanie postanowiłem pozostawić sobie na deser. Najpierw próbowałem wytłumaczyć ich zachowanie dyskomfortem związanym z niedostateczną znajomością języka i/lub byciem na obczyźnie. Potem przysłała do mnie myśl o tym, że ogólnie jeszcze nie tak dawno, kilka pokoleń wstecz, za czasów komuny, nieufność uchodziła za normę, a my zdążyliśmy już o tym zapomnieć. Jednak było tego zdecydowanie za mało, żeby uznać pytanie deserowe za zamknięte.

Żeby lepiej zrozumieć, jak może czuć się w Polsce osoba z innego kręgu kulturowego, sięgnąłem do *Odwiedzin* I. B. Singera (Fame Art, 2023). W niepublikowanej wcześniej powieści autor *Sztukmistrza z Lublina* z charakterystyczną dla siebie chirurgiczną precyzją portretuje mieszkańców żydowskiej Warszawy sprzed ponad stu lat. Właściciel fabryki damskich torebek w Buenos Aires Max Szpindler i jego żona, była aktorka Flora Chabior, po latach wracają do miasta, żeby załatwić szybki interes, jednak sytuacja praktycznie od razu wymyka im się spod kontroli. *Odwiedziny* zamieniają się w istny koszmar, gdyż na każdym kroku w „mieście, w którym zęby zjedli”, czekają na nich demony przeszłości. Para głównych bohaterów rozdrapuje blizny po burzliwej warszawskiej młodości i bolesne wspomnienia biorą nad nimi górę, spychając ku ostatecznemu upadkowi.

W *Odwiedzinach* Singer ukazuje się czytelnikom jako arcymistrz warsztatu psychologicznego. Poprzez drobne szczegóły zawarte w opisach bohaterów noblista bardzo zgrabnie obrazuje ludzkie słabości. Porusza między innymi problematykę klasowości i kompleksu przyjeźdnego. Stołeczna bohema, naganiaczki do burdela, bogobojni szulerzy i asy świata kryminalnego – wszyscy oni kiedyś przybyli do stolicy bez grosza, aczkolwiek nic nie

stańło im na przeszkodzie, żeby się wykazać, wyrwać z biedy i zdobyć autorytet w mieście. Musieli przejść niejedną próbę, żeby uzyskać pożądaną status miejscowych. Dlatego darzą wielkim sentymentem znajomości z dawnych czasów, surowo zaś oceniają każdego, kto pojawił się w Warszawie po nich – traktując z podejrzliwością, a nawet pogardą. Tym soczyście narysowanym przez Singera postaciom nieustannie towarzyszy konflikt pomiędzy utrwalonymi schematami a dynamicznie zmieniającym się porządkiem, podsycany na dodatek ciągłą chęcią udowodnienia całemu światu własnej racji. Tylko właściwie po co? W pewnych fragmentach powieści można się domyślić, że gra toczy się o prestiż – na przykład Maks i Flora decydują się na zatrzymanie w polskim hotelu, mimo że słabo znają polski, a kontakt z obsługą cały czas wyprowadza ich z równowagi. W trakcie lektury *Odwiedzin* wielokrotnie mi się wydawało, że uczucia bohaterów rezonują z uczuciami znajomych osób, które nierzadko wbrew własnej woli zostały zmuszone do poszukiwania lepszego losu za granicą.

Motywacje działań przyjeźdźnego nie zawsze da się wytłumaczyć wyłącznie logiką. Doświadczyłem tego na własnej skórze. Po części jest to zdeterminowane tym, że układanie życia na emigracji wymaga wielu kompromisów. Przez to, że nie zawsze można osiągnąć to, co pożądaną, częściej wypada się godzić na coś znajdującego się w zasięgu własnych możliwości. Ciągły kompromis nie tylko rozmywa poczucie własnych granic, ale także kreuje specyficzny rodzaj wewnętrznego napięcia, wzbudza chęć znalezienia upustu, a nawet więcej – dania sobie dyspensy. Tylko że oczekiwanie na odroczone rekompensatę za poniesiony dyskomfort tak naprawdę może trwać latami. Jak to zazwyczaj bywa w przypadku odkładania życia na później, to „potem” nigdy nie następuje, a w najgorszym wypadku w jego miejscu pozostaje słynne „a co by było, gdyby...”.

Próbując podzielić się ze znajomymi Polakami przemysłami na temat życia na emigracji, nie raz słyszałem: ale my też tak mamy. Wiele razy mi powtarzano, że życie w Polsce po prostu nie należy do łatwych. Zawsze wydawało mi się paradoksalny to, jak ten kraj lubi narzekać, a jednocześnie chwalić się swoją gościnnością. Dlatego stwierdziłem, że dla uzyskania szerszej perspektywy warto zrobić krótką wizję lokalną.

Wpaść na nowy trop w rozmyślaniach nad pytaniem deserym pomogła mi sztuka Doroty Masłowskiej *Bowie w Warszawie*, którą zobaczyłem w adaptacji studentów wrocławskiej filii Akademii Sztuk Teatralnych. Póki ikona muzyki rozrywkowej beztrudno spaceruje ulicami stolicy Polski Ludowej, autorka sztuki przygląda

się ludzkiej narośli, stanowiącej tło tego pamiętnego wydarzenia, błyskotliwie rozbrajając jej lęki i kompleksy. Warszawa nie wydaje się miejscem gościnnym dla zagranicznego gościa. Akcji cały czas towarzyszy poczucie duszności i zgrozy – Masłowska obrazuje opresję w patriarchalnym społeczeństwie sprzed pięćdziesięciu lat ze wszelkich możliwych stron. Poznając historie kolejnych bohaterek, widzimy, jak systemowa przemoc nabiera rzeczywistego wymiaru, a ostatecznie wszystkie jej rodzaje wzbudzają w nich lęk. Sam Bowie pojawia się w ostatniej scenie, tylko nikt na niego nie czeka. Wszyscy czekają raczej na terroryzującego miasto Dusidamka z Mokotowa, dlatego rzucają się w pogoń za dziwacznym podróżnym. Masłowska pozostawia nas z piękną alegorią lęku przed tym, co ma nadejść, ale nie nadchodzi również przez ów lęk.

Kilka dni później musiałem się wybrać do fryzjera, gdyż mój pozostał w Lublinie. Długo przeglądałem internet, aż zdecydowałem się na wizytę u Asi. Szczerze mówiąc, poza przystępną ceną i dogodną lokalizacją przemówiło do mnie jej polskie imię. Pomyślałem, że z Polką w odróżnieniu od rodaków, niekoniecznie musiałbym podtrzymywać rozmowę, a gadać tamtego dnia nie bardzo mi się chciało. Jak pisała Vivian Gornick, efektem bycia w mniejszości jest to, że człowiek cichnie. Lata stażu poza ojczystym krajem uczyniły ze mnie doświadczonego użytkownika własnego cichego trybu.

Chwilę po tym, jak usiadłem na krześle, Asia spytała mnie, skąd pochodzę. Dopiero wtedy zauważyłem jej akcent. Jako zawodowy milczek błyskawicznie się zorientowałem, że rozmowy dzisiaj nie da się uniknąć. Na szczęście Asia okazała się bardzo miłą, ciepłą, młodą kobietą rodem ze wschodniej Ukrainy.

– Powiedz mi, czy Asia to taki twój pseudonim artystyczny? – spytałem.

Fryzjerka zaczęła się śmiać.

– Tak mnie nazywała mama. A kiedy przyjechałam do Polski, dowiedziałam się, że tutaj też mają takie imię. Więc tak już zostało.

– A jak długo mieszkasz w Polsce?

– Cztery lata. A ty?

– Od dwa tysiące dwunastego – odpowiedziałem.

– Długo. Dlatego tak mówisz po polsku, że nie da się cię odróżnić po akcencie.

Przez chwilę Asia przypatrywała mi się w lustrze. Jej twarz spoważniała, było widać, że nad czymś się mocno zastanawia.

– Jak długo we Wrocławiu? Podoba się? – W jej przezroczystym głosie pojawiła się ledwo zauważalna nutka niepewności.

- No, może z miesiąc. Jest fajnie.
- Na świątecznym targu już byłeś?
- Byłem.
- A iluminacje widziałeś?
- Widziałem.
- Hmm... - Po chwili namysłu znowu popatrzyła na mnie pytająco. - A w zoo? W zoo też byłeś?
- A w zoo akurat jeszcze nie byłem - powiedziałem i zacząłem się śmiać. Na twarzy dziewczyny również zaczął rozpywać się łagodny, zadowolony uśmiech.
- O, koniecznie musisz tam pójść! Koniecznie!